NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 41 Katowice, dnia 11-go października 1931

Na Niedzielę dwudziestą po Świątkach

Lekcja.

Efez. V. 15—21.

Bracia! Patrzcież jakobyście ostrożnie chodzili; nie jako niemądrzy, ale jako mądrzy, czas odkupując, iż dni złe są. A przetoż nie bądźcie nierostropnymi, ale rozumiejącymi, która jest wola Boża. A nie upijajcie się winem, w którem jest nieczystość, ale bądźcie napełnieni Duchem świętym, rozmawiając sobie w psalmach i w pieśniach i wśpiewaniach duchownych, śpiewając i grając w sercach waszych Panu; dziękując zawsze za wszystko w imię Pana naszego, Jezusa Chrystusa Bogu i Ojcu, będąc poddanymi jedni drugim w bojaźni Chrystusowej.

Ewangelja.

Jan IV. 46—53.

Onego czasu: Był niejaki królik, którego syn chorował w Kafarnaum. Ten gdy usłyszał, iż Jezus przyszedł z Żydowskiej ziemi do Galilei poszedł do niego, i prosił go aby zstąpił, a uzdrowił syna jego; bo poczynał umierać. Rzekł tedy do niego Jezus: Jeśli znaków i cudów nie ujrzycie, nie wierzycie. Rzekł do niego królik: Panie, zstąp pierwej, niż umrze syn mój. Rzekł mu Jezus: Idź, syn twój żyw jest. Uwierzył człowiek mowie, którą mu powiedział Jezus, i szedł. A gdy on już zstępował, zabieżeli mu słudzy, i oznajmili mówiąc, iż syn jego żyje. Pytał się tedy od nich godziny, której mu się polepszyło. I rzekli mu: Iż wczoraj siódmej godziny opuściła go gorączka. Poznał tedy ojciec, iż ona godzina była, której mu rzekł Jezus: Syn twój żyje! I uwierzył sam, i wszystek dom jego.

Żywot św. Edwarda

króla i wyznawcy

13 października.

Chwalebną zaiste i uznania godną jest łagodność, bądź ją widzimy w dziecku, bądź w wyrobniku, bądź w służebnej, ale o wiele chwalebniejszą jest, gdy ją widzimy na najwyższym szczeblu godności ziemskiej, u książąt i królów. Takim monarchą, jednoczącym w sobie łagodność z potęgą królewską, był święty Edward, syn Etelreda II, króla angielskiego i Emmy, księżniczki normandzkiej. Ponieważ król Duński Kanut pozbawił swego ojca życia i korony, Edward będąc jeszcze dzieckiem, musiał uciekać do Normandji, gdzie na dworze książęcym z powodu łagodności, pobożności i skromności był ulubieńcem wszystkich.

Anglicy jęczeli pod srogiem jarzmem Duńczyków. Przemoc, wojna i ucisk przyprawiały ich o rozpacz. Jedna tylko pozostawała im pociecha, cnotliwy i zacny syn ich dawniejszego władzcy. Gdy przeto berło zawakowało, włożyli jednomyślnie koronę na skronie Edwarda w dzień Wielkanocny roku 1042.

Nowy król wstąpił na tron ojca, postanowiwszy rządzić według zasady: „Dobrobyt kraju zależy nadewszystko od stanu moralności i wiary poddanych, a najprostszym sposobem uszczęśliwienia ludu jest troskliwość o kościół i nabożeństwo, jako też ugruntowanie bojaźni Bożej". Gotów raczej opuścić kraj, aniżeli przelać krew choćby jednego tylko człowieka, tak rządził, iż historja pisze o nim: „Z jego przybyciem stała się ziemia urodzajniejszą, powietrze zdrowszem, morze spokojniejszem". Łaskawy dla wszystkich, litościwy dla uciśnionych, szczodrobliwy dla ubogich, żył jak najskromniej, a dochodów swoich używał na zagojenie ran zadanych przez wojnę, budowanie kościołów, zakładanie szkół, klasztorów i dobroczynnych zakładów. Ustawy, nadane przezeń ludowi są jeszcze dzisiaj prawomocne i dają chlubne świadectwo jego mądrości i łagodności.

W skutek próśb i nalegań szlachty i ludu pojął Edward (który już był w wieku młodzieńczym ślubował dozgonną czystość, ale z tem się przed wszystkimi taił). pobożną i zacną hrabinę Edytę za żonę, i spowodował ją do tego, że i ona przyrzekła Bogu dochować dziewictwa.

Nie płacono podówczas jeszcze podatków stałych, ściągano je tylko w czasach wojennych i w nagłej potrzebie. Ponieważ magnaci znali nieograniczoną jego szczodrotę i myśleli, że kasa jego jest wyczerpaną, opodatkowali bez jego wiedzy poddanych dość wysoko i złożyli w jego ręce zebrane pieniądze, aby niemi rozporządzał według upodobania. Edward uznał dobre chęci ludu angielskiego, ale wszystkim czynnownikom wrócił złożoną przez nich kwotę. Jeszcze dobitniejszy dowód jego dobroci i pokory daje nam

następujący wypadek. Ubogi Irlandczyk, sparaliżowany na obie nogi, przywlókł się do drogi, którą jechał król, otoczony biskupami i hrabiami i zawołał: „Najjaśniejszy Panie, często już w pobliskim kościele błagałem świętego Piotra o zdrowie i odbierałem odpowiedź, że wtedy je dopiero odzyskam, gdy mnie sam król na barkach do kościoła zaniesie". Zsiadłszy z konia, przystąpił Edward do kaleki i wziął go na ramiona. Jedni z dworzan śmiali się potajemnie, drudzy żartowali z łatwowierności Edwarda, inni mówili o jego lekceważeniu własnej godności; on zaś nie zważając na nic, zaniósł chorego do kościoła, a kaleka natychmiast odzyskał zdrowie.

Szczególną cześć okazywał Edward św. Janowi, który był wzorem czystości i miłości bliźniego. Nikomu nigdy nic nie odmawiał, kto go o coś prosił w imię św. Jana. Pewnego razu św. Jan w postaci żebraka prosił go o jałmużnę. Edward nie miał nic przy sobie i darował mu sygnet z palca. Niezadługo zwrócił mu Święty klejnot ofiarowany i przepowiedział mu bliski dzień zgonu. Jakoż rzeczywiście zachorował król i przyjął z wielką czcią i uroczystością Sakramenta umarłych, polecił drogą małżonkę opiece magnatów, którzy pogrążeni w smutku otaczali jego łoże, oświadczył, iż ściśle dochował czystości i zawarł powieki dnia 5 stycznia r .1066 w sześćdziesiątym czwartym roku życia. Nigdy może przedtem tak rzewnie nie opłakiwali poddani straty swego księcia, jak Anglicy śmierć Edwarda. Nad jego grobem, umieszczonym w wybudowanym przez niego kościele Westministerskim działy się liczne cuda. Zwłoki jego, podniesione i złożone we wspaniałej trumnie w r. 1102 przez króla Wilhelma Zdobywcę, były nieskażone. Papież Aleksander III. ogłosił go Świętym w roku 1161, a sejm narodowy zebrany w Oksfordzie nakazał w roku 1220, aby pamiątkę jego obchodzono rokrocznie w całej Anglji dnia 13 października jako uroczyste święto.

Złote słowa

Różaniec jest to potężna broń, jaką mi Najśw. Dziewica dała. Z nim w ręku zwalczajmy opór błędnowierców i złość grzeszników, a wkrótce wejdą oni w siebie i uznają swój błąd.

Św. Franciszek Salezy.

Prędzej niebo i ziemia się zapadną, aniżeliby Marja miała nie wyratować tego, który szczerze pomocy Jej wzywa.

Św. Wincenty a Paulo.

Kto w swej myśli wiarę pielęgnuje, tego w potzrebie świata wiara wesprze.

Kto ci rozpowiada o błędach drugiego, ten trzeciemu opowie o błędach twoich.

Trzeba, aby każdy człowiek rozwiązał sam zagadkę swego życia. Na nic się nie zda, aby mu ją ktoś drugi podpowiedział, bo jedni nie słuchają, a drudzy nie rozumieją.

Szczęście zarówno jak nieszczęście jest probierzem siły moralnej człowieka, tak jedno bowiem, jak drugie nie każdy potrafi dostojnie przeżywać.

Konopnicka.

„Różaniec mnie uratował"

W wozie pocztowym, jadącym w kierunku C.. opowiadał nam pewien już starszy kapłan holenderski o nadzwyczajnem zdarzeniu w mieście N. gdzie był niedawno przedtem proboszczem.

Było to z końcem września 1880 r. a więc kilka dni przed niedzielą różańcową. Jednego dnia odwiedziłem pewną osobę w mieście, posiadającą sklepik. Gdym odchodził, rzekł mi właściciel jego: „Księżę proboszczu, tu w sąsiedztwie jest pewien stary żołnierz, który niegdyś w Indjach służył, poważnie chory. Dziś rano przyszła do mego sklepu jego gospodyni i powiedziała, że mieszka on już u niej od dawna, jest obecnie chory i leży w łóżku. Kobieta dodała jeszcze, że będzie on z pewnością katolikiem, bo prosił ją, aby mu podała Różaniec z kufra i zarazem musiała mu przyrzec, że mu po śmierci da do rąk ów Różaniec".

Kazałem podać sobie natychmiast jego adres i udałem się w drogę. Żołnierz był bardzo słaby i nie było nadziei utrzymania go przy życiu. Mówiłem do niego, lecz nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, lub tylko pogardliwą i mrukliwą. Nie chciał ani słyszeć o tem, że jest katolikiem i przeczył, żeby kiedykolwiek przystąpił do pierwszej Komunji św. i t. d. „Musisz pan być przecież katolikiem?" rzekłem w końcu, „bo masz Różaniec".

„Tak", odpowiedział mi, „ten mnie nigdy nie opuścił". Zacząłem mu mówić o spowiedzi, lecz co tylko zaczynałem mówić, choć mu dodawałem odwagi i wykazywałem mu jego stan niebezpieczny, nie otrzymałem wogóle żadnej odpowiedzi. Po wielu bezowocnych próbach począłem się ubierać mówiąc mu, że koło piątej lub szóstej godziny znowu go odwiedzę, to znajdę go może w lepszym nastroju. Chory potrząsnął przecząco głową i rzekł, że to wszystko nadarmo, żeby się więc nadarmo nie trudził. Poszedłem do domu z myślą przyjścia o oznaczonej godzinie. Nie przypuszczałem jednak, że stan jego zdrowia jest tak poważny. Opanował mnie jakiś niepokój i choć starałem się go pokonać, nie mogłem go się pozbyć. Postanowiłem więc pójść wcześniej do chorego.

Gdy przybyłem do jego mieszkania, gospodyni jego, wyznania protestanckiego, powiedziała mi, że chory żalił się przed nią, że mnie tak zimno i obojętnie przyjął. Tak było w rzeczywistości. Zaszła w nim zupełna zmiana. Łaska boża zrobiła w nim swój skutek. Gdy wszedłem do niego, objął moje ręce, uścisnął je silnie i prosił o przebaczenie, następnie powiedział, że całe swe życie spędził w Indjach i nie troszczył się wcale o kościół i t. p.

Dodałem mu otuchy, pouczyłem go krótko i wysłuchałem go spowiedzi. Następnie udałem się do kościoła, aby mu przynieść oleje do ostatniego Namaszczenia. Z wielkiem nabożeństwem przyjął Sakramenta święte. Na końcu dodałem mu jeszcze otuchy i powiedziałem, aby podziękował Bogu za tak wielką łaskę, którą właśnie co otrzymał. „Tak", odrzekł, „i Marji szczególnie, bo jej Różaniec uratował mnie".

Niedługo potem umarł spokojnie. Różaniec jego włożono mu do trumny, jak sobie życzył przed śmiercią.

Święty Boże

Któż z nas nie zna tej pięknej a tak ponurej pieśni? W czasach wielkich klęsk, kiedy ziemia szaleje i niebo na niej mścić się zdaje, w czasach głodu, wojny, ognia, morowej zarazy, wyrywa się z piersi ludzkości taki straszny krzyk błagania, prośby rozpaczy, obłędu.

Kiedy po rok tysiączny wiła się ziemia w konwulsjach, trzęsła się (w roku 1000 oczekiwano końca świata), wojska Otona I ciągnące do Włoch, widziało słońce czerwone jak szafran, a słońce dogorywać się zdawało. Kiedy spiekła ogniem, strawiona ziemia nic już rodzić nie mogła, a ludzie, według opowiadań kronikarzy, sami siebie pożerali; kiedy groźba sądu ostatecznego na niebie się rozłuniła krwawą pożogą, wtedy powstało „Dies irae" („Dzień gniewu Bożego").

A kiedy u nas szwedzi wyniszczyli mordem i pożogą wsie i miasta, kiedy głód i zaraza wyludniła do reszty spustoszoną glebę, wtedy wyrwał się z piersi straszny jęk: Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny.

Pieśń ta — to polskie nasze „Dies irae".

Trzeba ją słyszeć w małym wiejskim kościele, kiedy już przez gęsty mrok z trudem przedziera się światło świec na ołtarzu. — Kiedy ksiądz obróci się z monstrancją ku ludowi a organy huczą jednem przeciągłem a odległem dudnieniem, wtedy następuje chwila, która zimnym dreszczem ciało przebiega.

Lud na kolana powalony oczekuje czegoś, coś jakby nieszczęście zawisło w powietrzu, coraz to niżej się stłacza i swym czarnym ciężarem na głowy się wali. I naraz intonuje ksiądz Św. Boże, Św. Mocny, a jękiem bólu i cierpienia odpowiada naród: „Święty a Nieśmiertelny wybaw nas Panie".

Łzy

Było to dawno, bardzo dawno. Wewnątrz wspaniałego zamku dzień i noc odbywały się wesołe zabawy, rozległy się okrzyki radosne ucztujących, brzmiały śpiewy biesiadne, szczękały puhary. To pan zamczyska, zwany Rycerzem Okrutnym, zabawiał się ze swymi towarzyszami. Nie darmo zwano go okrutnym, gdyż w okolicy na dziesięć mil wokoło bano go się jak ognia. Korzystał ten rycerz z nieobecności w kraju króla, który wyruszył był na daleką wyprawę, i poczynał sobie ze swymi podwładnymi w sposób haniebny. Łupił miasteczka i wioski, napadał na podróżnych, palił i rabował, byleby jeno na biesiady w jego zamczysku, wśród gór niedostępnych wzniesionym, złota starczyło.

I oto pewnego razu przechodził przez tę okolicę ubogi pielgrzym, dążący do Ziemi świętej, do Grobu Zbawiciela. Był to mąż święty, który cały swój majątek i życie całe poświęcił na ulżenie w niedoli biednym i na otarcie łez cierpiącym. Ogromny płacz usłyszał w krainie, nad którą miał władzę Rycerz Okrutny, płacz ten jednakże nie dochodził do uszu pana zamku, gdyż głuszyła go wrzawa pijana dzień i noc ucztujących tamże rycerzy.

Ukląkł więc święty pielgrzym na skraju strumienia, tuż naprzeciwko zamku, i modlić się zaczął gorąco, aby Bóg zesłał upamiętanie na błądzących.

I zdarzyło się, że w tejże chwili Rycerz Okrutny wyszedł z zamku, aby ochłodzić się wśród ogrodu, gdyż dzień był wielce upalny.

Nagle usłyszał głos błagalny jakiejś ubogiej spoczywającej pod drzewem kobiety z dzieckiem na ręku:

— Panie potężny, umieram z głodu i pragnienia, ludzie twoi zabili mi męża, spalili dom, zabrali dobytek, umieram z wycieńczenia. Ach, daj mi choć kilka kropli wody...

— Ja nikomu nic nie daję! — odrzekł Rycerz Okrutny i odwrócił się gniewnie, chcąc zawołać na sługi, aby wyrzucili precz tę kobietę.

W tejże chwili atoli dał się słyszeć głos surowy świętego pielgrzyma:

— Dopełniłeś swych zbrodni, rycerzu bez serca!... Czas ci rozpocząć pokutę... Oto masz iść przed siebie bez spoczynku i wytchnienia, dopóki nie napełni się wodą beczułka, która oto w tej chwili zawisła na twej szyi...

I nagle Rycerz Okrutny uczuł na piersiach swoich czarodziejską beczułkę; ogarnął go lęk wielki, i jak szalony, zaczął biedz naprzód, przed siebie...

Biegł tak dni, tygodnie, lata. Zbliżał się do rzek, jezior i mórz, aby napełnić czarodziejską beczułkę, lecz nigdzie dokonać tego nie mógł. Beczułka zawsze była pusta, wodą napełnić się nie dała. Aż kiedy włos siwizna mu pokryła, kiedy cały świat przeszedł wzdłuż i wszerz, kiedy poznał nędze ludzkie i cierpienia, nagle uczuł w sercu skruchę. Innemi oczyma spojrzał na świat, poznał nagle, że największą rozkoszą dla człowieka jest ocierać łzy cierpiącym, pomagać nieszczęśliwym. Niedola bliźnich zaczęła go wzruszać od głębi serca. Pewnego dnia przybył do okolicy, która wydała mu się dobrze znaną.

Nagle usłyszał głos błagalny, a jakoby znany, niegdyś już słyszany:

— Umieram z głodu i pragnienia, daj mi choć kilka kropli wody...

Rycerz Okrutny drgnął, spojrzał dokoła i nagle ujrzał pod drzewem biedną, nieszczęsną kobietę z dzieckiem na ręku, której był niegdyś bezlitośnie odmówił pomocy.

Żal i litość przejęły go. Wybladła, opuszczona kobieta i nawpół żywe dziecię wzruszyły jego kamienne serce — zapłakał nad ich niedolą.

Kilka tych łez upadło do czarodziejskiej beczułki.

Rycerz zapomniał o wszystkiem, tylko rzucił się do pobliskiego strumienia, aby przynieść wody, dać pomoc umierającej z pragnienia kobiecie.

Zanurzył beczułkę w krynicznej wodzie i o dziwo! napełniła się po brzegi.

A gdy przyniósł i podał wodę do picia opuszczonej kobiecie, nagle dał się słyszeć głos z góry:

— Dopełniłeś pokuty... Serce twoje umie teraz współczuć niedoli... Wracaj więc na zamek twój i czyń dobrze bliźnim.

I od tego czasu rycerz stał się błogosławieństwem całej okolicy, poświęcając się dla dobra bliźnich.

Miłość synowska

W jednej z ulic stołecznego miasta N. zatrudnionych bywało kilkunastu mężczyzn ciężką pracą przy pewnej budowie. Wszyscy byli jednakowo ubrani, a odzienie ich boleśnie przemawiało do duszy.

Byli to więźniowie, za wyrokiem sądowym odsiadujący karę, zwani pospolicie aresztantami.

Na zegarze ratuszowym uderzyła 11 godzina.

Za chwilę zaczęły napełniać się ulice młodzieżą śpieszącą ze szkoły po nauce przedpołudniowej.

Za wszystkimi, prawie ostatni wyszedł ze szkoły kilkunastoletni młodzieniec, smutny niezwykle i widocznie należący do uboższej klasy ludności, bo ubranie, jakie miał na sobie, acz czyste, w całości zdradzało wielki niedostatek. Zbliżywszy się do pracujących więźniów, przystanął nieco, powiódł po nich łzawym wzrokiem i ze spuszczoną głową przystąpił zwolna do jednego z nich. a pochwyciwszy jego rękę, z uszanowaniem ją ucałował. Nieszczęśliwy ów więzień spojrzał za odchodzącym z rozczuleniem i póty patrzał za nim, dopóki mógł go dojrzeć, gdy zaś młodzieniec skręcił w boczną ulicę, przystąpił jakiś młody człowiek i zapytał:

— Dlaczego, moje dziecko, pocałowałeś w rękę owego więźnia?

— Bo to mój ojciec, łaskawy panie.

— I nie wstydziłeś się spełnić tego publicznie?

— Nie, panie, spełniam to zawsze, wiele razy zdarzy się do tego sposobność. bo ojca jak kocham, tak kocham — zresztą tak mi serce każe.

— Czy ci niewiadomo, za co twój ojciec siedzi w więzieniu?

— Łaskawy panie, ja tego nie umiem dokładnie powiedzieć, ale moja kochana, biedna mateczka ciągle płacze i modli się prosząc Boga, aby jaknajprędzej ojciec nasz do domu powrócił, bo my bardzo nieszczęśliwi bez niego. Mego ojca też wszyscy my kochali. ludzie zawsze uważali go za poczciwego człowieka, to czyż mógł popełnić coś tak złego, żeby jako zbrodniarz godzien był kary?

Nieznajomy pomówił jeszcze przez chwilę z młodzieńcem, pochwalił za miłość dla rodziców, a potem idąc mówił sobie w myśli:

— Nie musi to być zły człowiek ojciec tej chłopczyny, skoro syna tak dobrze wychował. Muszę rzecz tę bliżej zbadać i wyjednać ułaskawienie. jeżeli znajdą się odpowiednie do tego warunki.

Poczciwy młodzieniec nie wiedział, z kim miał szczęście rozmawiać. — Był to bowiem minister, od którego przedstawienia wszystko zależało.

I niebawem uwolniono tego więźnia i wśród łez i radości niewymownego szczęścia zbliżyły się znowu trzy serca uszczęśliwionej rodziny: ojca, syna i matki.

Tak więc bogobojnie i poczciwie wychowany syn stał się wybawicielem swego ojca.

Śmierć kapłana-męczennika

w Meksyku

List matki do syna.

„Opiszę ci przepiękną śmierć starca, który był świętym kapłanem i męczennikiem. Wszystkie podane tu szczegóły posłyszałam od zakonnicy pielęgniarki, która była przy nim w ostatniej chwili życia.

W pewnej wiosce w pobliżu portu Mazatlaco zamieszkały Siostry nieustannej adoracji. Ojcem ich duchownym był ksiądz staruszek, mieszkający w prostym domku zdala od klasztoru. Codziennie wczesnym rankiem chodził z domu do Sióstr, by odprawić Mszę św.

Jednego poranka zdążał, jak zwyczajnie, w stronę klasztoru, ale spotkali go po drodze żołnierze, którzy czatowali już na niego w pobliżu klasztoru.

„Poczekajcie, staruszku! Tyś jest księdzem!" wołali coraz natarczywiej, „dokąd tak zmierzasz?"

Ksiądz odpowiedział im zupełnie spokojnie i bez wzruszenia:

„Pytacie, gdzie idę, moje dzieci? Idę odprawić Mszę św."

„A czy nie wiesz, że to zakazane?"

„Co mówicie?... Zakazane?... Nikt mi o tem nie mówił".

„Powiedz tedy przynajmniej: Niech żyje Calles, a będziesz wolny".

„Chłopcy, cóż wy mówicie? Wam wolno powiedzieć: Niech żyje Calles, kiedy tylko chcecie, ale ja tego powiedzieć nie mogę".

„A zatem kto niech żyje?"

Zacny staruszek zastanowił się i wyrzekł:

„Niech żyje Chrystus-Król!"

W tej chwili żołnierze zwrócili ku niemu lufy karabinów i strzelili. Nieszczęsny kapłan został raniony w pierś i po chwili stoczył się na ziemię. Dobrzy ludzie, którzy widzieli całe zdarzenie, przyszli rannemu z pomocą i zaprowadzili go do dawnego mieszkania. Powiadomili o wypadku zakonnice. Siostra pielęgniarka chorych przebrała się prędko za prostą wieśniaczkę i udała się na miejsce wypadku, niosąc eter, watę i spirytus. Stanąwszy nad łożem rannego, zapytała go:

„Ojcze duchowny, cóż ci się stało?"

„Przecież widzisz, dziecko moje, że ci dobrzy ludzie posyłają mnie do nieba!"

A gdy Siostra chciała opatrzyć rany jego, odpowiedział:

„Dziecko moje, to zbyteczne! Idę do nieba!... spieszę prosić dobrotliwego Boga, by czuwał nad wami!"

To były ostatnie jego słowa. Po chwili zakończył życie.

Jaka to piękna śmierć! Czy nie prawda, mój synu? Niech będzie Bóg uwielbiony w swoich Męczennikach!"

„Posł. S. J."

Każdy z nas jest tu żołnierzem Chrystusowym, a jako taki musi walczyć o chwałę Wodza i Zbawcy swego. A wiemy dobrze, że walka nie jest rozkoszą, lecz pełna niewygód. udręczeń i boleści. Rozpieszczony żołnierz, nie jest podobny do Wodza swego Chrystusa.